

<p>W 1818 roku zima była szczególnie okrutna. Potem białe masy śniegu zalegały na wszystkich drogach i polanach. Otaczały głębokie doliny rzeki Wdy, w czas zwanej Czarną Wodą. Tuliły się do wysokich pni sosen, brzozy i wierzb porastających rozległe połacie Borów Tucholskich. Łosie, jelenie i sarny z trudem wygrzebywały spod śniegu resztki uschniętych traw. Gruba warstwa białego puchu, który skrywał zmarznięte, zbite masy śniegu broniły dostępu do runa leśnego. Po wychudzonych sylwetkach widać było, że zwierzęta głodowały. Wyciągały wysoko głowy, by sięgnąć dolnych gałęzi dębu, buki i grabi ogryzając zdrewniałe gałązki. Zamarznięte strumienie i potoki broniły dostępu do ciekłej wody.</p><p></p><div>Wiosna przyszła tę nagle. Pierwsze silne i gorące promienie słoneczne momentalnie topiły śniegówką pokrywą. Wokół zrobiło się mokro i wilgotno. Rzeczki, strumienie i rzekłone dolinki błyskawicznie wypełniły się po brzegi zimną, stopniącą wodą. Drogi stały się grzeczne i bagniste. Wszyscy czekali, a że słońce wysuszy ziemię drogi, pola, łąki.
Z kominów rozrzuconych wśród lasów chat wydobywały się cienkie smoki dymu. Ci którzy zapobiegawczo zabezpieczyli spiżarnie zbożem, miodem, warzywami i owocami przygotowali w kuchni smaczne, chociaż na przedwiośnie już monotonne potrawy. Ważne, że było co do garnka włożyć i parzyć od gorących strawy na gliniane talerze.
W wielu miejscach jednak surowa zima sprawiała, że gwałtownie zająrzyła ludziom w oczy. Do gotującej się wody wrzucali resztki zboża wygrzebanego z drewnianych skrzyń, stare zdrewniałe kawałki zasuszonego mięsa lub resztki grzybów i owoców. Ci najbardziej oczekiwali na odejście zimy.
W owym czasie w Tleniu, u ujścia Prusiny do Czarnej Wody stał młyn wodny. Na niewielkiej, kamiennej podmurówce wznosił się wysoki, piętrowy, drewniany budynek, do którego jakby przyklejono koło młyńskie. Kręciło się ono pod ciężarem wody spadającej na ogromny, wysokości dwóch dorosłych mężczyzn wirnik. Mieszkał w nim młynarz z żoną i dwiema córkami. Bogaty gospodarz z młoczą czerpiwością mielił na młok lub krupy powierzone mu ostatnie kwintale żyta lub owsa. W komorze stały dziesiątki pęcznych worków z młok lub kaszą, które czekały na odbiorcę. Pełna spiżarnia żywności, ciepła odzież i zapas suchego opału pozwalały ze spokojem patrzeć na przyszłość.
Błotniste, nieprzejezdne drogi sprawiły, że mimo panującego głodu na drodze do młyna, nie widać było ani wjeżdżającego człowieka, ani zaprzęgniętych wozów. Wszyscy czekali na odwilż i licząc dzień za dniem, coraz bardziej się niecierpliwiłi.
Jadwiga, starsza córka gospodarza, mimo swoich dwudziestu lat wciąż była niezamężna. Miejscowym kawalerom dawała do zrozumienia, że nie jest nimi zainteresowana, że wciąż czeka na swojego księcia, toteż coraz rzadziej dorodzi mężczyźni oglądali się za kruczowoskami. Już ubiegłego roku do młyna człoto zaglądał Kazimierz? wótowy syn. Podobała mu się Jadwiga i baczyc na bogate wiano chłonie by wziąć ją za żonę. Ona jednak upatrzyła sobie wysokiego, szczupłego leśniczego z Orlego Dworu, który jeszcze niedawno, bo w czasie wojen napoleońskich, służył we francuskiej armii. Tam w wojsku cesarza Napoleona ofiarnością i odwagą doczekał się oficerskiej szarży. Po klęce w Rosji i przegranej wojnie nie wrócił na zachód. Pozostał w Polsce, w Borach Tucholskich. Jako, że jego ojciec był leśniczym w Wielkopolsce i sam wychował się w lesie, leśny fach znał od podszewki. Mając odpowiednie wykształcenie szybko otrzymał propozycję pracy gajowego w leśnictwie Orli Dwór, a po upływie trzech lat awansował na funkcję leśniczego. Mieszkał ze souborem w leśniczówce położonej u stóp ogromnego, ponad 100 hektarowego jeziora. Dzisiaj

tafla jeziora zmniejszyła się kilkukrotnie, a ono, z uwagi na bogactwo ptactwa wodnego i błotnego, stało się rezerwatem przyrody o nazwie Jezioro Miedzno.

Marzyła więc Jadwiga o zamęściu i wyprawach w dalekie strony, na zachód Europy. Pragnęła odwiedzić wielkie miasta o których opowiadała leśniczy? oficer: o Barcelonie i Paryżu, o Wiedniu i Berlinie.

Młodsza córka młynarza? Marcysia, była przeciwieństwem siostry. Osiemnaście lat skończyła w tym roku. Jasnowłosa z długimi warkoczami przewieszonymi przez ramiona wolała w wolnych chwilach, gdy nie musiały matce pomagać w domowych zajęciach, po okolicznych polach i lasach. Wzdłuż kwiłujących i pachnących ziołami. W dolinie rzeki podglądała leśne zwierzęta lub przysuchiwała się odgłosom ptaków wierzgających wysoko na niebie lub w gałęziach drzew. Lub też nisko, tuż przy ziemi, w krzakach leszczyn, tarniny i gołogł. Czasem na trasie swojej wędki spotykała Marcina? syna ubogiego drwala, którego chata stała na skraju niewielkiej osady, zwanej Grzybkiem. Niedawno z pomocą syna drwal zbudował nowy, niewielki dom, pokryty grubą warstwą trzciny. Wokół chaty ona drwala urządziła ogródek z warzywami, a na wąskim skrawku ziemi posadziła drzewa i krzewy owocowe. Latem i jesienią na gałęziach tkwiły ciemne owoce jabłoni, gruszy, wiśni iśliw. Pozostałości tego ogrodu widnieją wzdłuż brzegu do dnia dzisiejszego. Wzdłuż Zbiornika Łurskiego gdzieś widać obsypane owocami jabłonie i wiśnie, a tuż przy polanie, na której kapiła się mieszkała Osia, stoi jeszcze rozłożysta jabłonia pod którą siedzący szukający chłodu turyści.

Lubiła Marcysia przebywać w obecności Marcina. Opowiadała jej o leśnych roślinach, znała zwyczaje zwierząt, a gośca ptaka rozpoznawała po pierwszych dźwiękach. Z łatwością wspinała się na wysokie drzewa, gdzie swoje gniazda uwiły leśne pszczoły. Wygarniała gołębie z ciemnych plastry ociekające miodem i wyciągała ku Marcysi. Śmiejąc się głośno i odganiając od pojedynczych pszczoł przeżykali sokołoci długo oblizując palce u ręk. Często buszowali wśród krzewów jeżyn i malin lub w niskich krzewinkach czarnych jagód. Wyciągali ku sobie wypełnione owocami garbki i uczernione sokiem jagodowym dłońmi, a ich twarze przybrudzone owocami przybliżyli do siebie tak blisko, że widać było w nich migoczące iskierki radości ze wspólnie przeżytych chwil. Ich wędki wiodły z Grzybka przez polanę zwaną Zatoką, a dalej na północ, wzdłuż głęboko wciętej Doliny Chłopa. Na wysokości osady Starnie, na którą składało się kilka drewnianych domostw można było przejść po pniach zwalonych drzew na drugą stronę i wybudowanym w czasie wojen napoleońskich traktem dotrzeć do Tlenia.

Stary młynarz zapragnął starszej córce zapisać w wianie młyn z obejściem, aby z młodem kontynuowała rozpoczęte przez niego dzieło. Usilnie szukał kawalera dla niej. Przychylny był Kazimierzowi, który z dobrej rodziny pochodził i z dobytkiem, jakie wót synowi obiecywał, zapewniał trwałość i rozwój młyna. Natomiast niechętnie spoglądał na spotkanie Marcysi z Marcinem. Biedny chłopak nie był żadną partią. Dla niej planował ożenek z podstarzałym wdowcem -karczmarzem z Miedzna, któremu ona obumarała wiosną ubiegłego roku.

Kiedy wreszcie wody opadły, a drogi stały się suche i przejezdne rozpoczęła się wędka do młyna. Bogatsi gospodarze zajęli furmankami zaprzęgniętymi w dwa konie, biedniejsi powozili wozem ciężkim przez wozy, a biedacy dźwigali worki na plecach. Obok nich szli piechotą wychudli najemnicy rolni służący w dworach i folwarkach. Wszyscy się spieszyli nadrabiając stracony czas, bowiem do Wielkanocy było już blisko. Kiedy wszyscy zajęli byli pracą lub porządkowaniem obejści albo krztali się w kuchni przygotowując smaczne potrawy na niedzielne śniadanie, młynarz postanowił przekazać komu swój wół. Nie spodziewał się sprzeciwu z ich strony. Zaskoczony ich niechęcią najpierw się zdziwił, a w chwili później rozgniewał okrutnie.

Będzie tak jak postanowimy, albo mój oddam w ręce swoich krewnych ? oznajmić ci kom.

Był przekonany, że groźba poskutkowałam. Przywołał więc do siebie umorusanego
młok pacholatka i kazał zanieść wiadomość karczmarzowi z Miedzna. Z wami
zaplanowałam rozmowę osobicie.</div> <p align="justify">
</p> <div>Nazajutrz, kiedy
starsza ciotka nie pojawiła się na dniadaniu rozległ się lament matki.
- Ucieka,
uciekła, ucieka ? powtarzała w koło.
Młynarz szybko zwołał parobka i zaczął
wypytywać wystraszonych młodzieńców.
- Tu przed pięć lat widziałem na koniu
leśniczego z Orlego Dworu. Pewnie z nim pojechała ? wydukał wystraszony chłopak.
Szybko więc wysłał gospodarz parobka na przespiegi. Był już po obiedzie kiedy
młodzieniec wrócił do Tlenia.
- To jednak prawda ? informowała. ? Jadwiga jest u
leśniczego w Orlim Dworze, a po dniach planuję iść. Powiedziała, że do domu nie wróci
? dodała i odsunęła się na bok widząc zagniewaną twarz gospodarza.
 Ten gniew na
niewdzięczności i niesubordynację utkwiał w głowie młynarza na wiele dni. - Tak mi
się odpoczęła ? mruczała przez kolejne lata, chodząc po obejściu lub przesuwając cię
worki z młok. Krzywił się, gdy proboszcz na niedzielnej sumie ogłaszał zapowiedzi
i lubne. Nie był na weselu swej córki, jednak ukradkiem przysuchiwał się plotkom z wesela,
a potem wieści z narodzin pierwszego i drugiego wnuka. Czasem mignął mu w kościele lub
wóstr stragan na wrzesniowym odpoczynku.
 Kiedy dzień zbliżył się ku końcowi, a
gospodarze zwozili worki pełne wieńczego pachnącego zboża młynarz kazał zaprzec
bryczkę i udał się do Miedzna. Ten wieczór spędził z karczmarzem. Przy butelce czystego
cynnego kornusa i pachnącej jałowcem kiełbasy uzgadniał warunki zamieszkania
swojej młodszej córki. Karczmarz, który już dwie córki pochował, liczył blisko sześćdziesiąt
lat. Niski, krępy z pokrytą zmarszczkami twarzą i wypchniętym brzuchem nie wyglądał
okazale.
? Jest stary i brzydki, ale bogaty ? pomyślał w głębi duszy młynarz.
?
Marcysia powinna się cieszyć ? zapewniał sam siebie.
Pięć noc wrócił młynarz do
domu, do Tlenia. Zadowolony z ubitego interesu położył się spać.
? Nigdy w życiu !
krzyczała Marcysia, gdy ojciec nazajutrz przedwornie wprowadził swój plan w życie.
?
Przejdź się zabić albo pójść do klasztoru, do elbietanek ? groziła.
? Kocham Marcina
? szeptała pod nosem, pochlipując i ukradkiem ocierając oczy.
? Jeżeli tak, to nie będzie
ani karczmarza z Miedzna, ani Marcina z Grzybka ? zdecydowała młynarz, bojąc
się utracić drugą córkę.
Przez długie miesiące młodzi kochankowie spotykali się na
brzegu Zatoki Chłop. Stojąc po obu stronach rzeki spoglądali na siebie głęboko
nawojując:
? Marciiiiieeee ! wołała Marcysia zwijając dłoń w trójkąt
?
Marcyyysiuuu ! ? odpowiadał Marcin kiwając ręką wesoło.
Wartka struga nie pozwalała
im się zbliżyć do siebie. Stali więc naprzeciw i rozmawiali przekrzykując szum płynącej
wody.
 Rok później, kiedy Marcysia wracała ze wspólnego spotkania, od zachodu
nadszły ciemne, prawie czarne chmury. Wiatr, który najpierw narastał, nagle ucichł, by po
kilku minutach zerwał się znowu. Tym razem ze zdwojoną siłą. Marcysia pociła biegiem ku
domowi. Wokół zrobiło się szaro, deszcz uderzał w twarz i ramiona dziewczyny, ubranie
zrobiło się mokre i ciężkie. W oddali rozległy się grzmoty, a niebo przecinały światła
błyskawic. Co chwilę ktoś biegnącej dziewczyny upadały z łamane gałęzie drzew,
czasem uschnęła kosa traw uderzała o jej zmoknięte ciało.
? Jeszcze tylko z głębi,
jeszcze chwilkę i będę w domu ? myślała zdyszana. Wtem poczuła swąd dymu.
?
Chyba las się pali ? Przeważała zgadnąć. Jednak kiedy wysunął się z gęstwiny drzew, gdy
ujrzała leżącą w dolinie wioskę przeraziła się niezmiernie. W oddali płonął młyn.
Uderzona piorunem samotna strzecha szybko zajęła się ogniem, a leżące blisko zabudowania

w mgnieniu oka zamieniały się w dymiący gęstym dymem ruin. Wokół nieporadnie krztali się ludzie, próbowali ratować pozostały dobytek. Kilka kobiet lamentowało nad ciętymi młynarza i jego żoną. Ten dzień przyniósł tragedię. Ciekawostką było to, że w wyniku pożaru ucierpiało tylko młyn z obejściem. Ogień nie zdołał opuścić obejścia, a pozostałe domy we wsi ocalały. Nie nosiły nawet śladu uszkodzenia od ognia.

Kilka dni po pogrzebie Marcysia stojąc pośrodku ruin, brudnymi od sadzy i smoły rękoma odsuwała spalone belki w miejscu, gdzie wcześniej stał jej dom. Wskoczyła w głęboką piwnicę otuloną kamiennym murem i zaczęła rozgarniać ziemię. Rezygnowała tam, gdzie gleba była twarda i udeptana niczym na klepisku? szukała miękkiego gruntu. Kiedy po kilku godzinach chaotycznych poszukiwań opata stuknęło głuchym o coś twardego uśmiech pojawił się na twarzy dziewczyny. Wiedziała, że kilka dni przed pożarem ojciec wypełnił duży, gliniany dzban złotymi i srebrnymi monetami, a potem zszedł do piwnicy. Wrócił po godzinie wycierając ubrudzone gliną dłonie. Odnalezione pieniądze miały przynieść Marcysi nowe szczęście.

Za bieżące monety kupiła drewno, kamienie i cegły. Szybko zatrudniła murarzy i cieśli. Dom rósł w oczach. Robotnicy stawiali obok młyna wodny. Kiedy czterech chłopów z mozołem taszczyło wielkie kamienne żarno do mielenia zboża Marcysia przywołała brygadzystę.

Do tej pory pochłonięta odbudową nie myślała o codziennym życiu, o Marcinie i wódkach po lesie.

- Chcę aby zatrudnił jeszcze jednego cieśla. Będzie pracował w Zatoce Chłop. Jeszcze tej jesieni niechaj robotnicy zbudują most na strudze? zarządziła. I w krótkich zdaniach objaśniła wygląd mostu.

W październiku Marcysia mieszkała już w nowym domu. Obok robotnicy wykazali budynek młyna. Powyżej na rozległych tarasach ziemnych kilku parobków sadziło drzewa i krzewy owocowe. O tym, że rosły tam także winogrona do dzisiaj wspominają mieszkańcy Tlenia i Osia. Do dzisiaj przetrwały te uformowane tarasy ziemne.

W pewne słoneczne popołudnie dziewczyna pojechała lekką bryczką, zaprzęgniętą w gniadego konika, obejrzeć budowę mostu w Zatoce. Od brygadzysty wiedziała, że cieśle kończą już swoją pracę. A kiedy bryczka wysunęła się z zakrętu odsłaniając zabagnioną dolinę Marcysia zobaczyła swój budynek. Z daleka wyglądała jak budynek, bowiem most od góry zwieszony został dachem ze struganych desek.

- Marciinieeee! ? zawołała nie oczekując odpowiedzi.

- Ciiinieeee! ? odpowiedziało echo odbijając się od zielonej ściany lasu.

Długo stała dziewczyna na niedokończonym moście rozmyślając o rodzinnej tragedii, o Marcinie, którego nie widziała już tak dawno i pełnej pytań przyszłości.

Kiedy czerwieniejące słońce chowało się za wierzchołkami drzew, a wiśszo doliny ułono w cieniu Marcysia wsiadła do bryczki, lekko trącąc lejcami zniecierpliwionego długim postojem konia. Ruszyła ku domowi.

- Marcyysiaaaa! ? nagle rozległo się wołanie. Odbiło się od drzew i dotarło do uszu dziewczyny. Drgnęła gwałtownie. Rozejrzała się szybko. Nikogo nie było widać.

- Pewnie się przesłyszałam? pomyślała, ale bijące o wiele za szybko serce przeczyło zdrowemu rozsądkowi. Już chciała ruszyć gdy goś? widmo rozległo się ponownie.

- ? Marcyysiaaaa! ? teraz już całkiem wyraźnie dotarło do niej wołanie. Spojrzała w stronę mostu. A tam w oddali, pod drewnianym dachem stał Marcin, wymachując rękoma. Zeskoczyła z siedziska i zostawiając konia szybko pobiegła w stronę mostu. Ku wyraźnej i tak znajomej sylwetce Marcina.

Gdy ciemno i zupełnie ogarnęła dolinę oni jeszcze długo stali na moście, wspierając się na poręczy i obejmując ramionami. Ich dłonie splecione palcami tonęły w mroku.

Kiedy pierwsze promienie słońca rzuciły smugę na porannych, białoobłocnych mgłach młodzi kochankowie ruszyli przez trawy pokryte kroplami rosy w kierunku Tlenia. Za

sobę pozostawili most, do dzisiaj zwany mostem Miłoci. Na święta Bożego Narodzenia odbyli się lub Marcysi i Marcina. Na tej uroczystości była też Jadwiga ze swoim mężem. Byli też rodzice i rodzicielstwo Marcina. Odtąd wielokrotnie ich córka wiodła przez nowy most. Most, który połączył nie tylko dwa brzegi rzeki, dwie rodziny, ale i dwa serca: Marcysi i Marcina. O zmierzchu lub o świcie na Mostcie Miłoci można zauważyć dwie sylwetki? dziewczyny i chłopaka. Siedzą z nogami przewieszonymi nad wodą, opierają się o poręcz lub stoją przy podporze tuż do siebie. Czy są to Marcin z Marcysi? Tego nie jesteśmy pewni. Może to też wspomnienie kochanków. Jesteśmy za to przekonani, że od blisko dwustu lat Most Miłoci służy temu samemu celowi. Łączy brzegi rzeki i gorące serca. Wielu mieszkańców Bor Tucholskich wspomina kochankę twierdząc, że most przynosi szczęście. Może to tylko ludzkie gadanie lub fantazja gawędziarzy, jednak nikomu nie zaszkodzi się przekonać o prawdzie zawartej w tej legendzie. Most Miłoci istnieje do dzisiaj, a kiedy z czasem niszczy konstrukcję leńnicy z Nadleśnictwa Osie mozolnie odbudowuje jej elementy. Tak też stało się w roku 2009, kiedy leńnicy przygotowywali szlak dla nowej w Polsce formy rekreacji? nordic walking. Dzisiaj najczęściej przez ten most maszerują w rowcy z kijkami w rękach. Na brzegach Zatoki Chłop licznie siadają w łódki ryby lub tylko rozmyślają. Często syczących gęsi rozlegające się po obu stronach doliny. Kiedy jednak chcą sobie porozmawiać muszą przejść do najbliższego mostu? Mostu Miłoci.

Marek J. Lejk, Miedzno, sierpień 2009r.

W 1818 roku zima była szczególnie okrutna. Potem białe masy śniegu zalegały na wszystkich drogach i polanach. Otaczały głęboko doliny rzeki Wdy, w czas zwanej Czarną Wodą. Tuliły się do wysokich pni sosen, brzozy i świerków porastających rozległe połacie Bor Tucholskich. Łosie, jelenie i sarny z trudem wygrzebywały spod śniegu resztki uschniętych traw. Gruba warstwa białego puchu, który skrywał zmarznięte, zbite masy śniegu broniły dostępu do runa leśnego. Po wychudzonych sylwetkach widać było, że zwierzęta głodowały. Wyciągały wysoko głowy, by sięgnąć dolnych gałęzi dębu, buki i grabi ogryzając zdrewniałe gałązki. Zamarznięte strumienie i potoki broniły dostępu do ciekłej wody.

Wiosna przyszła też nagle. Pierwsze silne i gorące promienie słoneczne momentalnie topiły śnieg pokrywając Wokę robiąc się mokro i wilgotno. Rzeczki, strumienie i drobne dolinki błyskawicznie wypełniły się po brzegi zimną, stopniącą wodą. Drogi stały się grzaskie i bagniste. Wszyscy czekali, aż słońce wysuszy ziemię drogi, pola, łąki.

Z kominów rozrzuconych wśród lasów chat wydobywały się cienkie smutki dymu. Ci którzy zapobiegawczo zabezpieczyli się zbożem, mięsem, warzywami i owocami przygotowali w kuchni smaczne, chociaż na przedwiośnie już monotonne potrawy. Ważne, że było co do garnka włożyć i parzyć od gorących straw wyłożonych na gliniane talerze.

W wielu miejscach jednak surowa zima sprawiała, że gęsto zajązdzali ludziom w oczy. Do gotującej się wody wrzucali resztki zboża wygrzebanego z drewnianych skrzyń stare zdrewniałe kawałki zasychniętego mięsa lub resztki grzybów i owoców. Ci najbardziej oczekiwali na odejście zimy.

W owym czasie w Tleniu, u ujścia Prusiny do Czarnej Wody stał młyn wodny. Na niewielkiej, kamiennej podmurówce wznosił się wysoki, piętrowy, drewniany budynek, do którego jakby przyklejono koło młyńskie. Kręciło się ono pod ciężarem wody spadającej na ogromny, wysokości dwóch dorosłych mężczyzn wirnik. Mieszkał w nim młynarz z żoną i dwiema córkami. Bogaty gospodarz z młoczą czerpiwością mielił na

mak lub krupy powierzone mu ostatnie kwintale żyta lub owsa. W komorze stały dziesiątki pełnych worków z mak lub kaszą, które czekały na odbiorców. Pełna spiżarnia żywności, ciepła odzież i zapas suchego opału pozwalały ze spokojem patrzeć na przyszłość. Błotniste, nieprzejezdne drogi sprawiły, że mimo panującego grodu na drodze do młyna, nie widać było ani wójującego człowieka, ani zaprzęgniętych wozów. Wszyscy czekali na odwilż i licząc dzień za dniem, coraz bardziej się niecierpliwiłi.

Jadwiga, starsza córka gospodarza, mimo swoich dwudziestu lat wciąż była niezamężna. Miejscowym kawalerom dawała do zrozumienia, że nie jest nimi zainteresowana, że wciąż czeka na swojego księcia, toteż coraz rzadziej dorośli mężczyźni oglądali się za kruczowosą panną. Już ubiegłego roku do młyna czegoś zaglądał Kazimierz? wójtowy syn. Podobała mu się Jadwiga i bacznie na bogate wiano chęnie by wziął ją za żonę. Ona jednak upatrzyła sobie wysokiego, szczupłego leśniczego z Orlego Dworu, który jeszcze niedawno, bo w czasie wojen napoleońskich, służył we francuskiej armii. Tam w wojsku cesarza Napoleona ofiarnością i odwagą doczekał się oficerskiej szarży. Po klęce w Rosji i przegranej wojnie nie wrócił na zachód. Pozostał w Polsce, w Borach Tucholskich. Jako, że jego ojciec był leśniczym w Wielkopolsce i sam wychował się w lesie, leśny fach znał od podszewki. Mając odpowiednie wykształcenie szybko otrzymał propozycję pracy gajowego w leśnictwie Orli Dworu, a po upływie trzech lat awansował na funkcję leśniczego. Mieszkał ze swoją rodziną w leśniczce położonej u stóp ogromnego, ponad 100 hektarowego jeziora. Dzisiaj tafla jeziora zmniejszyła się pięciokrotnie, a ono, z uwagi na bogactwo ptactwa wodnego i błotnego, stało się rezerwatem przyrody o nazwie Jezero Miedzno.

Marzyła więc Jadwiga o zamieszpociu i wyprawach w dalekie strony, na zachód Europy. Pragnęła odwiedzić wielkie miasta o których opowiadał leśniczy? oficer: o Barcelonie i Paryżu, o Wiedniu i Berlinie.

Młodsza córka młynarza? Marcysia, była przeciwieństwem siostry. Osiemnaście lat skończyła w tym roku. Jasnowłosa z długimi warkoczami przewieszonymi przez ramiona wędrowała w wolnych chwilach, gdy nie musiała matce pomagać w domowych zajęciach, po okolicznych polach i lasach. Wzdłuż kwitnących i pachnących ziołami. W dolinie rzeki podglądała leśne zwierzęta lub przysuchiwała się odgłosom ptaków wierzgających wysoko na niebie lub w gałęziach drzew. Lub też nisko, tuż przy ziemi, w krzakach leszczyn, tarniny i goździka.

Czasem na trasie swojej wędrówki spotykała Marcina? syna ubogiego drwala, którego chata stała na skraju niewielkiej osady, zwanej Grzybkiem. Niedawno z pomocą syna drwał zbudował nowy, niewielki dom, pokryty grubą warstwą trzciny. Wokoło chaty ona drwała urządzała ogródek z warzywami, a na wąskim skrawku ziemi posadziła drzewa i krzewy owocowe. Latem i jesienią na gałęziach tkwiły cięże owoce jabłoni, gruszy, wiśni iśliw. Pozostałości tego ogrodu widnieją wzdłuż brzegu do dnia dzisiejszego. Wzdłuż Zbiornika Łuskiego gdzieś widać obsypane owocami jabłonie i wiśnie, a tuż przy polanie, na której kapi się mieszkały Osia, stoi jeszcze rozłożysta jabłonia pod którą siedzą szukający chłodu turyści.

Lubiła Marcysia przebywać w obecności Marcina. Opowiadała jej o leśnych roślinach, znała zwyczaje zwierząt, a głos ptaka rozpoznawała po pierwszych dźwiękach. Z łatwością wspinała się na wysokie drzewa, gdzie swoje gniazda uwiły leśne pszczoły. Wygarniała gołębie rękawce z łote plastry ociekające miodem i wyciągała ku Marcysi. Miejąc się gołono i odganiając od pojedynczych pszczół przeżykali sokołoci długo oblizując palce u ręk. Czegoś buszowali wśród krzewów jeżyn i malin lub w niskich krzewinkach czarnych jagód. Wyciągali ku sobie wypełnione owocami garściami i uczernione sokiem jagodowym dłonie, a ich twarze przybrudzone owocami przybliżyli do

siebie tak blisko, że widać by w nich migoczące iskierki radości ze wspólnie przeżytych chwil. Ich wędrówki wiodły z Grzybka przez polanę zwaną Zatoki, a dalej na północ, wzdłuż głęboko wciętej Doliny Chłopa. Na wysokości osady Starnie, na którą składało się kilka drewnianych domostw można było przejść po pniach zwalonych drzew na drugą stronę wybudowanym w czasie wojen napoleońskich traktem dotrzedo Tlenia.

Stary młynarz zapragnął starszej córce zapisać w wianie młyn z obejściem, aby z matką kontynuowała rozpoczęte przez niego z dziećmi. Usilnie szukał kawalera dla niej. Przychyliłby Kazimierzowi, który z dobrej rodziny pochodził i z dobytkiem, jakie wót synowi obiecywał, zapewniał trwałość i rozwój młyna. Natomiast niechętnie spoglądał na spotkanie Marcysi z Marcinem. Biedny chłopak nie był żadną partią. Dla niej planował ożenek z podstarzałym wdowcem -karczmarzem z Miedzna, któremu ona obumarała wiosną ubiegłego roku.

Kiedy wreszcie wody opadły, a drogi stały się suche i przejezdne rozpoczęły wędrówki do młyna. Bogatsi gospodarze zajęli furmankami zaprzęgniętymi w dwa konie, biedniejsi powozili wozem ciężnym przez wozy, a biedacy dźwigali worki na plecach. Obok nich szli piechotą wychudli najemnicy rolni służyący w dworach i folwarkach. Wszyscy się spieszyli nadrabiając stracony czas, bowiem do święta Wielkanocnych było już blisko. Kiedy wszyscy zajęci byli pracą lub porządkowaniem obejścia albo krzatali się w kuchni przygotowując smaczne potrawy na niedzielne śniadanie, młynarz postanowił przekazać komuś swój wół. Nie spodziewał się sprzeciwu z ich strony. Zaskoczony ich niechęcią najpierw się zdziwił, a w chwilę później rozgniewał okrutnie.

- Będzie tak jak postanowię, albo młyn oddam w ręce swoich krewnych? oznajmił córkom.

- Był przekonany, że groźba poskutkowałą. Przywołał więc do siebie umorusanego młokę pachoka i kazał zanieść wiadomość karczmarzowi z Miedzna. Z wótem zaplanował rozmowę z osobą cię.

Nazajutrz, kiedy starsza córka nie pojawiła się na śniadaniu rozległ się lament matki.

- Ucieka, ucieka, ucieka? powtarzała w kółko.

Młynarz szybko zwołał parobka i zaczął wypytywać wystraszonych młodzieńców.

- Tu przed północą widziałem na koniu leńniczego z Orlego Dworu. Pewnie z nim pojechała? wydukał wystraszony chłopak. Szybko więc wysłał gospodarz parobka na przeszpiegi. Było już po obiedzie kiedy młodzieniec wrócił do Tlenia.

- To jednak prawda? informowała? Jadwiga jest u leńniczego w Orlim Dworze, a po dniach planuje ślub. Powiedziała, że do domu nie wróci? dodał i odsunął się na bok widząc zagniewaną twarz gospodarza.

Ten gniew na niewdzięczność i niesubordynację utkwił w głowie młynarza na wiele dni.

- Tak mi się odpłaciła? mruczał przez kolejne lata, chodząc po obejściu lub przesuwał cię worki z młok. Krzywił się też, gdy proboszcz na niedzielnej sumie ogłaszał zapowiedzi ślubne. Nie był na weselu swej córki, jednak ukradkiem przysłuchiwał się plotkom z wesela, a potem wieści z narodzin pierwszego i drugiego wnuka. Czasem mignął mu w kościele lub wórt stragan na wrzeźniowym odpuszczeniu.

Kiedy śniwa zbliżała się śliku kółowi, a gospodarze zwozili worki pełne wieńcego pachnącego zbożem młynarz kazał zaprzęcić bryczkę i udać się do Miedzna. Ten wieczór spędził z karczmarzem. Przy butelce czystego żytniego kornusa i pachnącej jałowcem kiełbasy uzgadniał warunki zamęppęcia swojej młodszej córki. Karczmarz, który już dwie żony pochował, liczył blisko sześćdziesiąt lat. Niski, krępy z pokrytą zmarszczkami twarzą i wypchniętym brzuchem nie wyglądał okazale.

- Jest stary i brzydki, ale bogaty? pomyślał w głębi duszy młynarz.

- Marcysia powinna się cieszyć? zapewniła sam siebie.

Późną noc wrócił młynarz do domu, do Tlenia.

Zadowolony z ubitego interesu położył się spać. Nigdy w życiu! krzyczała Marcysia, gdy ojciec nazajutrz wprowadził plan w życie. Przezejdź albo pójdziesz do klasztoru, do elżbietanek? groziła. Kocham Marcina? szeptała pod nosem, pochlipując i ukratkami ocierając oczy. Jeżeli tak, to nie będzie ani karczmarza z Miedzna, ani Marcina z Grzybka? zdecydowała młynarz, bojąc się utracić drugą córkę. Przez długie miesiące młodzi kochankowie spotykali się na brzegu Zatoki Chłop. Stojąc po obu stronach rzeki spoglądali na siebie gołono nawołując: Marciiiiieeee! wołała Marcysia zwijając dołonie w trójkąt. Marcyysiuuu! odpowiadał Marcin kiwając rękami wesoło. Wartka struga nie pozwalała im się zbliżyć do siebie. Stali więc naprzeciw i rozmawiali przekrzykując szum płynącej wody. Rok później, kiedy Marcysia wracała ze wspólnego spotkania, od zachodu nadciągnęły ciemne, prawie czarne chmury. Wiatr, który najpierw narastał, nagle ucichł, by po kilku minutach zerwać się znowu. Tym razem ze zdwojonym siłą. Marcysia poziła biegiem ku domowi. Wokół zrobiło się szaro, deszcz uderzał w twarz i ramiona dziewczyny, ubranie zrobiło się mokre i ciężkie. W oddali rozległy się grzmoty, a niebo przecinały światła błyskawic. Co chwilę ktoś biegnącej dziewczyny upadał z łamane gałęzie drzew, czasem uschnięta kosa traw uderzała o jej zmoknięte ciało. Jeszcze tylko z góry, jeszcze chwila i będzie w domu? myślała zdyszana. Wtem poczuła swąd dymu. Chyba las się pali? Próbowała zgadnąć. Jednak kiedy wysunęła się z gątowni drzew, gdy ujrzała leżące w dolinie wioski przeraziła się niezmiernie. W oddali płonął młyn. Uderzona piorunem słomiana strzecha szybko zajęła się ogniem, a leżące blisko zabudowania w mgnieniu oka zamieniały się w dymiące gęstym dymem ruiny. Wokół nieporadnie krztali się ludzie, próbując ratować pozostały dobytek. Kilka kobiet lamentowało nad ciałami młynarza i jego żony. Ten dzień przyniósł tragedię. Ciekawostką było to, że w wyniku pożaru ucierpiało tylko młyn z obejściem. Ogień nie zdołał opuścić obejścia, a pozostałe domy we wsi ocalały. Nie nosiły nawet śladu uszkodzenia od ognia. Kilka dni po pogrzebie Marcysia stojąc pośrodku ruin, brudnymi od sadzy i smoły rękoma odsuwała spalone belki w miejscu, gdzie wcześniej stał jej dom. Wskoczyła w głąb piwnicy otulonej kamiennym murem i zaczęła rozgarniać ziemię. Rezygnowała tam, gdzie gleba była twarda i udeptana niczym na klepisku? szukała miękiego gruntu. Kiedy po kilku godzinach chaotycznych poszukiwań opata stuknęło go ucho o coś twardego uśmiech pojawił się na twarzy dziewczyny. Wiedziała, że kilka dni przed pożarem ojciec wypełnił duży, gliniany dzban złotymi i srebrnymi monetami, a potem wszedł do piwnicy. Wrócił po godzinie wycierając ubrudzone dłonie. Odnalezione pieniądze miały przynieść Marcysi nowe szczęście. Za bayszczyce monety kupiła drewno, kamienie i cegły. Szybko zatrudniła murarzy i cieśli. Dom rósł w oczach. Robotnicy stawiali obok młyn wodny. Kiedy czterech chłopów z mozołem taszczyło wielkie kamienne żarno do mielenia zboża Marcysia przywołała brygadzystę. Do tej pory pochłonięta odbudowaniem myślała o codziennym życiu, o Marcinie i wórkach po lesie. Chcę aby zatrudnił jeszcze jednego cieśla. Będzie pracował w Zatoce Chłop. Jeszcze tej jesieni niechaj robotnicy zbudują most na strudze? zarządziła. I w krótkich zdaniach objaśniła wygląd mostu. W październiku Marcysia mieszkała już w nowym domu. Obok robotnicy wykazali budynek młynarski. Powyżej na rozległych tarasach ziemnych kilku parobków sadiło drzewa i krzewy owocowe. O tym, że rosły tam także winogrona do dzisiaj wspominają mieszkańcy Tlenia i Osia. Do dzisiaj przetrwały te uformowane tarasy ziemne. W pewne słoneczne popołudnie dziewczyna pojechała lekką bryczką, zaprzęgnię

w gniadego konika, obejrze budowę mostu w Zatoce. Od brygadzysty wiedział, że cięle koź jej swój prac. A kiedy bryczka wysunęła się z zakrętu odsłaniając zabagnioną dolinę Marcysia zobaczył swój budynek. Z daleka wyglądał jak budynek, bowiem most od góry zwieszony został dachem ze struganych desek.

- Marciiiiieeee! ? zawołała nie oczekując odpowiedzi.

- Ciiiiiiiieeee! ? odpowiedziało echo odbijając się od zielonej ściany lasu.

Długo stała dziewczyna na niedokończonym moście rozmyślając o rodzinnej tragedii, o Marcynie, którego nie widziała już tak dawno i pełnej pytała przyszłości.

Kiedy czerwieniejące słońce chowało się za wierzchołkami drzew, a wieszono doliny uto-nę w cieniu Marcysia wsiadła do bryczki, lekko trącąc lejcami zniecierpliwionego długim postojem konia. Ruszyła ku domowi.

- Marcyysiaaaa! ? nagle rozległo się wołanie. Odbiło się od drzew i dotarło do uszu dziewczyny. Drgnęła gwałtownie. Rozejrzała się szybko. Nikogo nie było widać.

- Pewnie się przesłyszałam ? pomyślała, ale bijące o wiele za szybko serce przeczyło zdrowemu rozsądkowi. Już chciała ruszyć gdy goś widmo rozległo się ponownie.

- ? Marcysiaaaa! ? teraz już całkiem wyraźnie dotarło do niej wołanie. Spojrzała w stronę mostu. A tam w oddali, pod drewnianym dachem stał Marcin, wymachując rękoma. Zeskoczyła z siedziska i zostawiając konia szybko pobiegła w stronę mostu. Ku wyraźnej i tak znajomej sylwetce Marcina.

Gdy ciemność zupełnie ogarnęła dolinę oni jeszcze długo stali na moście, wspierając się na poręczy i obejmując ramionami. Ich dłonie splecione palcami tonę w mroku.

Kiedy pierwsze promienie słońca rzuciły smug na porannych, białoobłocznym mgłach młodzi kochankowie ruszyli przez trawy pokryte kroplami rosy w kierunku Tlenia. Za sobą pozostawili most, do dzisiaj zwany mostem Miłoci.

Na dwiema Bożego Narodzenia odbył się ślub Marcysi i Marcina. Na tej uroczystości była też Jadwiga ze swoim mężem. Byli też rodzice i rodzeństwo Marcina. Odtąd wielokrotnie ich cięka wiodła przez nowy most. Most, który połączył nie tylko dwa brzegi rzeki, dwie rodziny, ale i dwa serca: Marcysi i Marcina.

O zmierzchu lub o świcie na Moście Miłoci można zauważyć dwie sylwetki ? dziewczyny i chłopaka. Siedzą z nogami przewieszonymi nad wodą, opierając się o poręcz lub stojąc przy podporze tuląc się do siebie.

Czy są to Marcin z Marcysią? Tego nie jesteśmy pewni. Może to też wspomnienie kochanków. Jesteśmy za to przekonani, że od blisko dwustu lat Most Miłoci służy temu samemu celowi. Łączy brzegi rzeki i gorące serca. Wielu mieszkańców Boru Tucholskich wspominając kochanków twierdzi, że most przynosi szczęście. Może to tylko ludzkie gadanie lub fantazja gawędziarzy, jednak nikomu nie zaszkodzi się przekonać o prawdzie zawartej w tej legendzie.

Most Miłoci istnieje do dzisiaj, a kiedy z upływem czasu niszczy konstrukcję leśnicy z Nadleśnictwa Osie mozolnie odbudowują jej elementy. Tak też stało się w roku 2009, kiedy leśnicy przygotowywali szlak dla nowej w Polsce formy rekreacji ? nordic walking. Dzisiaj najczęściej przez ten most maszerują wórowcy z kijkami w rękach. Na brzegach Zatoki Chłop licznie siadają wókarze łowić ryby lub tylko rozmyślając. Często szychających gośy rozlegające się po obu stronach doliny. Kiedy jednak chcąc sobie podać rozmawiać muszą przejść do najbliższego mostu ? Mostu Miłoci.

Marek J. Lejk , Miedzno, sierpień 2009r.